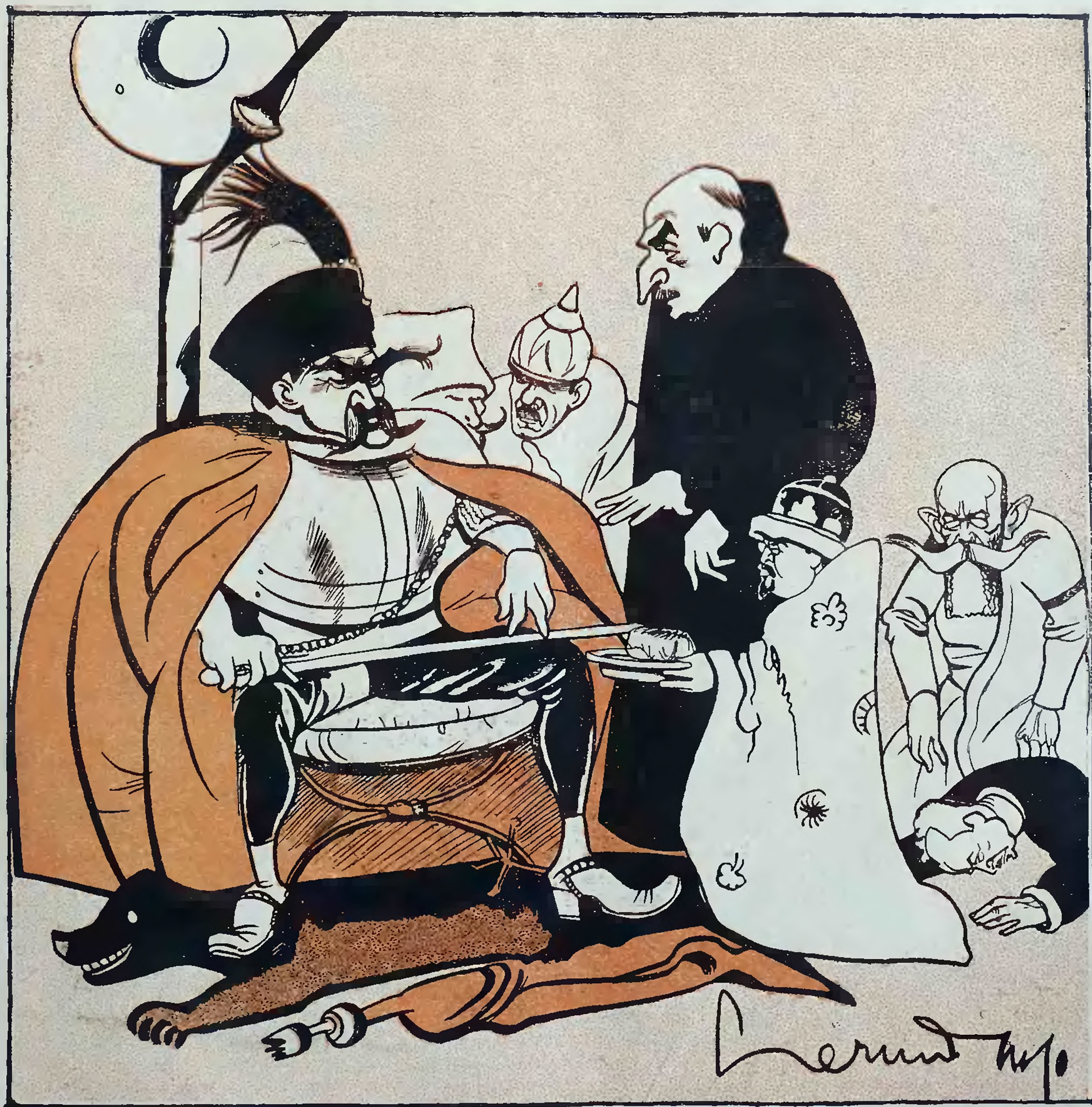


CYRULIK N WARSZAWSKI R 15 GOLI XX KAZDANIEDZIELE 1

ŚMIEJMY SIĘ! KTO WIE CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE? (BEAUMARCHAIS)

ARCYDZIEŁA MALARSTWA POLSKIEGO W KARYKATURZE.



„BATORY POD PSKOWEM” (J. Matejko).

rys. Zdz. Czernański.

MÓJ DZIONEK.

Ledwo słoneczko uderzy
W okno złocistym promykiem,
Budzę się, hoży i świeży,
Z antypaństwowym okrzykiem.

Zanurzam się aż po uszy
W milej moralnej zgniliźnie
I najserdeczniej uwłaczam
Bogu, ludzkości, ojczyźnie!

Komunizuję godzinkę,
Zatruwam ducha, a później
Albo szkaluję troszeczkę,
Albo, gdy święto jest, bluźnię.

Zaśmiecę język z lubością,
Znieprawiam, do złego kuszę,
Zakusy mam bolszewickie
I sącę jad w młode dusze.

Czasem mnie wujcio odwiedza,
Słodki, niechlujny staruszek,
Czytamy sobie, czytamy
Talmudzik, Szulchen Aruszek.

Z wujciem, jewrejem brodatym,
Emisarjuszem sowietów,
Śpiewamy „pierwszą brygadę”,
Chodzimy do kabaretów.

Od oficerów znajomych
Wyludzam w czasie kolacji
Sekrecik jakiś sztabowy
Lub planik mobilizacji.

Czasem mam misje specjalne,
To w Druskienikach to w Kielcach...
I wywrotowców werbuje
Na rozkaz Moskwy do „Strzelca”.

Do domu wracam pogodny,
Lekki, jak mała ptaszyna.
W cichem mieszkanku na Chłodnej
Czeka drukarska maszyna.

Odbijam sobie, odbijam
Zielone dolarki śliczne,
Komunistyczną bibułę,
Broszurki pornograficzne...

A potem — mała orgijka
W ramionach płomiennej Chajki!
(Mam w domu taką sadystkę
Z odeskiej czerezwyczajki).

I choć mam milion rozkoszy
Od Chajki krwawej i ryżej
To ciężko mi! Nie na sercu
Lecz wprost przeciwnie i niżej.

Niech się ciężarem tym ze mną
Podzieli który z rodaków!
Mój Boże! Ile tam siedzi
Głupich endeckich pismaków!

J. Tuwim.

B. I. D. A K.

Zjazd byłych wojskowych państw sprzymierzonych wielkiej i potężnej organizacji „Fidac'u” odbił się szerokim echem po całej stolicy. Ponieważ mało się znam na sprawach wojskowych, udałem się do mego przyjaciela, niejakiego Stanisława Kasprzaka byłego żołnierza państw sprzymierzonych inwalidy i właściciela budki z papierosami na Saskim Placu. Wywiad mój rozpocząłem od kupienia dziesięciu „egipskich”. Ponieważ zwierzenia Kasprzaka uważałem za bardzo zajmujące, prosiłem go o spisanie swoich uwag, które tu podaję w całości:

„Szanowny Panie! Wedle pytania dlaczego u generała Rodziewicza na śniadaniu nie jestem, odpowiem, że mam tylko nogę na wojnie a nie głowę stracił. Żadnego Crosfielda nie znam. Na drugie pytanie

odpowiem, że owszem widziałem, jak szły wszystkie te lordy, kolonle i generały z orderami i wieńcami ale nikt do mnie nie mówił, bo ja dla nich jestem żołnierz nieznan. Do tego nieznanego co umarł mówili oni dużo i owszem ładnie nawet tylko nikt temu teraz już wiary nie daje. Jak wojna światowa wybuchła też ładnie mówili i francuzi i nawet Niemiec, co ma język z przeproszeniem brzydki i o sprawiedliwości mówił i niby obietnice różne dawał. Wszystkie one narody mówiły, że ojczyzna będzie dla nas jak matka i że jakby kogo, na ten przykład, nieszczęście trafiło to krzywdy nie zazna i pierwszy niby będzie w poważaniu. Żeby jeich cholera za takie poważanie! Ta budka co ją trzymam nie moja jest, tylko, że niby nogi nie mam, o patent się podałem dla jednego sklepikarza z Mariensztad ulicy, i za to mam u niego wikt i opierunek. Reumatyzm mam, nie duży, bo tylko w jednej

nodze i wogóle skarżyć się nie skarzę, tylko, żeby nie te przemowy, co ich tu na Saskim Placu muszą wystuchiwać i te wszystkie generały, co to niby z wierzchu „Grand Prix” a w środku „Cowboy” za dwa grosze. Mundury to wszyscy mają jeszcze przedwojenne ale z przed tej wojny co będzie. Na mój rozum za dużo jest tych Fidac'ów i za dużo bidaków i przy okazji też wszystkich młodych co na musztry chodzą przestrzegam, żeby się nabrać nie dali na żadne kawaly. We wszystkich narodach ta sama je bida. Jednego tu z Francji widziałem, co bez nogi był, a dookoła Soboru latał całą noc na wyscigi, żeby co grubsza zarobić. Teraz nawet tego ten fidac mieć nie będzie bo mu sobor zburzyli — czego i wam wszystkim dranie na wojnie zbożacone życzy

Stanisław Kasprzak
inwalida z poważaniem
Przepisał Pro-rok.

C A M I.

Zazdrosny brzuchomówca

OBRAZ I.

Wnętrze Brzuchomówcy.

(Scena przedstawia mieszkanie brzuchomówcy)

Brzuchomówca zazdrosny.

Kobieta tu obecna, którą poślubiłem, jest, jak widzisz, głuchoniema.

Zaufany przyjaciel.

Nie zauważyłem, głuchoniema?

Brzuchomówca zazdrosny.

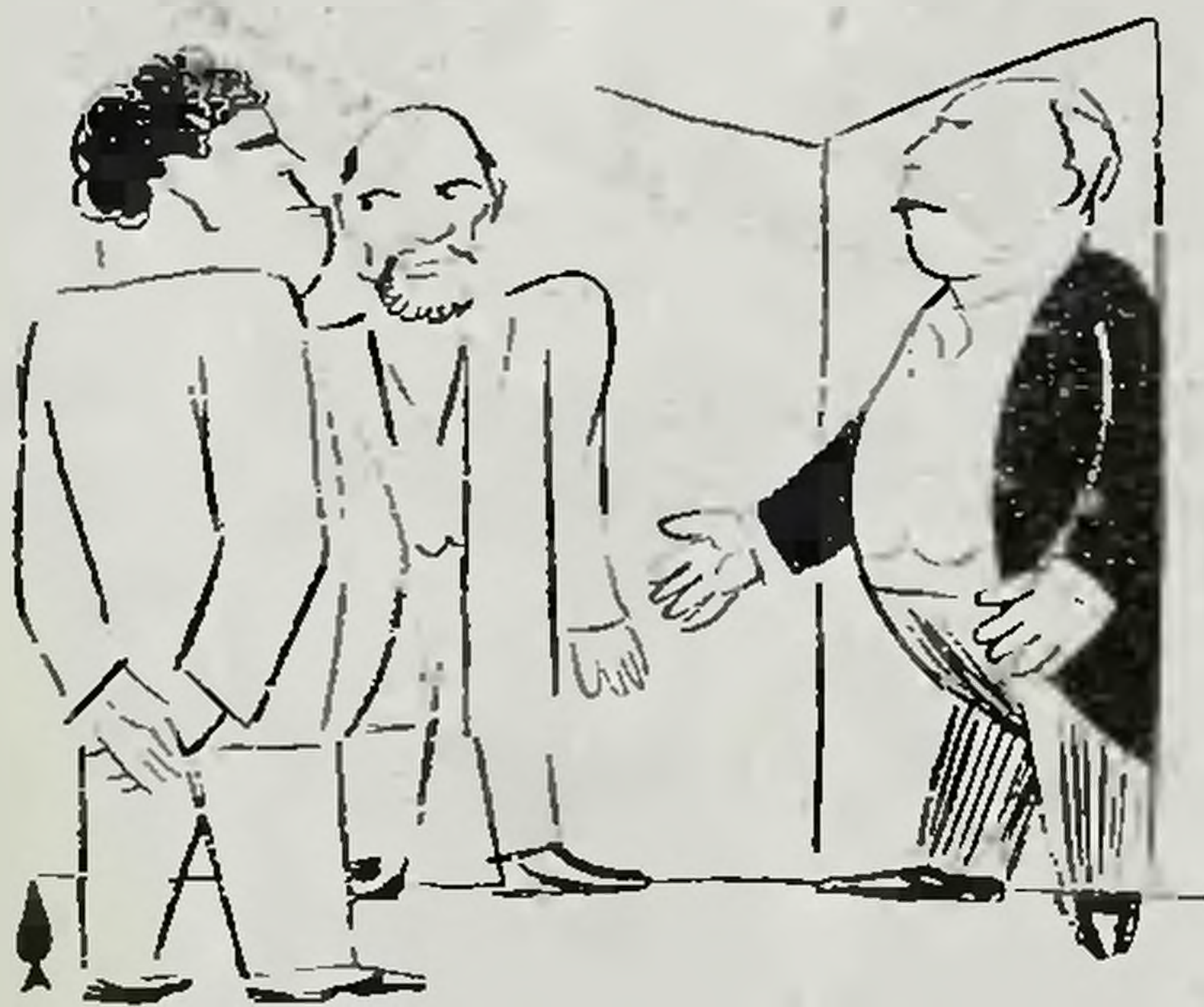
Tak, wybrałem głuchoniemą na żonę, bo jestem, jak wiesz, piekielnie zazdrosny. Jej kalektwo to jest obroną dla niej, ponieważ trudno jej rozumieć i odpowiadać na dwuznaczne grzeszne zaloty, na które jest ciągle narażona.

Zaufany przyjaciel.

Świetną miałeś myśl poślubienia głuchoniemej — zazdroszczę ci.

Brzuchomówca zazdrosny.

Dla większego bezpieczeństwa nie pozwalałem żadnemu mężczyźnie przestąpić progu mego domu. Ty jesteś wyjątkiem. — Dzięki swojej przysłowiowej brzydocie, jesteś



dla mnie właśnie tym prawdziwym zaufanym przyjacielem.

Zaufany przyjaciel wzruszony.

Żona mego przyjaciela jest dla mnie świętością. Lecz czy nie przykrzy ci się żyć z kobietą, z którą nie można dwóch słów zamienić.

Brzuchomówca zazdrosny (tajemniczy).

Och. To tylko ode mnie zależy.

Zaufany przyjaciel.

Więc ona jednak potrafi mówić czasem?

Brzuchomówca zazdrosny.

Nie całkiem. — Ale wiesz przecież, że jestem brzuchomówcą, i moją ukrytą wiedzą potrafię zmuszać nawet manekiny teatralne do ożywionej rozmowy.

Zaufany przyjaciel.

Tak, wiem o tem.

Brzuchomówca zazdrosny.

Więc uważasz, tej samej metody używam, aby dogadać się z moją żoną, mówię do niej moim zwykłym głosem a...

Zaufany przyjaciel.

A twoim głosem wewnętrznym odpowiadasz za swoją żonę — to nadzwyczajne.

Brzuchomówca zazdrosny.

Tak i doskonale się rozumiemy — zaraz się sam o tem przekonasz (do żony). Czy kochasz mnie, droga duszo?

Głuchoniema żona (głos brzuchomówcy).

O tak! Ty jesteś moim lwem wspaniałym i szlachetnym.

Zaufany przyjaciel.

Nadzwyczajne złudzenie, świetnie naśladujesz jej sposób mówienia. — Doprawdy znalazłeś szczęście w małżeństwie.

Rządca kamienicy, wpadając.

Brzuchomówco! — musisz opuścić natychmiast ten dom.

Brzuchomówca zazdrosny (zaskoczony).

Opuścić ten dom! — Dlaczego? — za co?

Rządca kamienicy.

Dlatego, że twoja żona wydaje na świat jęki i okrzyki, które obrażają wstydliwość moich lokatorów. — Kłaniam się i wychodzę.

Zaufany przyjaciel.

Co to ma znaczyć, nie rozumiem.

Brzuchomówca zazdrosny.

To moja wina. Co noc przez głupią próżność udaję moją brzuchomową okrzyki najwyższej ekstazy, które zdają się przychodzić z ust mojej żony — oczywiście, robię to przez zwykłą męską ambicję.

Przyjaciel zaufany (zmieszany).

Muszę się już z tobą pożegnać!

Brzuchomówca zazdrosny.

Idę z tobą (do żony) odchodzę, moja najdroższa.

Żona głuchoniema (głos brzuchomówcy).

Wróć prędko, mój skarbie drogi, tak pragnę twoich pocałunków. — Mój mężu! — Moje ukochanie! — Mój kochanku!

OBRAZ II.

Gorący uczynek.

(Scena przedstawia schody do mieszkania brzuchomówcy).

Brzuchomówca zazdrosny.

Właśnie odprowadziłem mego zaufanego przyjaciela, i zdążam po schodach do siebie. Boże! — Co słyszę! — hałaśliwy odgłos pocałunków, w moim mieszkaniu. — Piekło! — Zaglądam przez dziurkę od klucza, co widzę!! — Antoni, kuzyn głuchonie-



my mej żony, w grzesznej rozmowie z nią. Powinienem był się mieć na baczności. Głuchoniemi porozumiewają się ze sobą gestami. — Nie! niemożliwe jest być dłużej świadkiem tej okropnej mimiki. — Trzeba wylać drzwi i ukarać zdrajców. (Wysadzam drzwi i wpadam do pokoju). — Żono niewierna, giń! — (wyjmuje rewolwer z kieszeni). — Ach! prawda zapomniałem, kobieta nawet złapana na gorącym uczynku zawsze się jeszcze tłumaczy, i udaje niewinną. — Moim brzuszny głosem oddam jej tę ostatnią przysługę.

Żona głuchoniema (głos brzuchomówcy).

Przysięgam ci, że jestem niewinna!

Brzuchomówca zazdrosny.

Umieraj, istoto kłamliwa! (zabija ją). A teraz kolej na ciebie, głuchoniemcze (mierzy do Antoniego). — Nie, nie, zabijajmy go, moja zemsta będzie stokroć bardziej wyrafinowana. — Przyszła mi genialna myśl do głowy. — Zamknę na klucz kochankę mojej żony — i pójde po komisarza policji.



OBRAZ III.

Zemsta Brzuchomówcy.

(Mieszkanie Brzuchomówcy).

Brzuchomówca zazdrosny.

Komisarzowi policji! — moja żona została zamordowana w tej chwili — (wskazując na Antoniego). — Oto jest morderca!

Komisarz.

Czy słyszy pan. Co powie pan w swojej obronie?

Brzuchomówca zazdrosny.

O, zemsto wyrafinowana! i straszliwa. Antoni jest głuchoniemy. Moim głosem brzuchomówcy odpowiem za niego i będzie zgubiony!

Komisarz.

Niechże pan odpowie, czy to pan zabił tę nieszczęśliwą kobietę?

Antoni głuchoniemy (głos brzuchomówcy).

Tak, to ja — opierała mi się, więc ją zabiłem.

Koniec.

z francuskiego przetłumaczyła
Magdalena Samozwaniec.

MINISTER ZALESKI NA KOMISJI
W LIDZE NARODÓW



Briand: — wyraźna choroba angielska.

ARCYDZIEŁA LITERATURY W OBRAZKACH
z powodu listu Mussoliniego do Cziczierina.
„CZERWONE I CZARNE” (Stendhala—tłóm. Boy)



— „Cziem targujesz: — apielsinom,
— Z kiem tancujesz z Cziczerinom”! rys. Pik.

Z PARODYJ WIERSZYKA „WLAŻŁ KOTEK NA PŁOTEK”

Jan Lechoń.

„SREBRNE I CZARNE KOTY”

Inni niech będą świnię a dla nas ta szansa
Że mrugając oczami i mówiąc na mię,
Jak kot przyjaciel pana Anatola France'a
Tak my w przyjaźni z Francją wejdziemy do Ligi.
Nad płotem co nas dzieli jak gwiazdy, co wzejdą
Wyrośniemy w niebieskie wieczne ciało obroty.
Zmień nas, Panie, P. polaków i uczyn z nas koty,
Co cicho przez historję zasmucone przejdą.
przepisał A. S.

Adolf Nowaczyński.

„KOTEK I-ej BRYGADY”.

Wlażł Koc-ek — kanocek na płotek —
Ładny to pio-synek ten kotek!
Nie — Długosz..., nie kurcan, nie rudy —
„Wir blauen husaren” — do budy!

Jarosław Iwaszkiewicz.

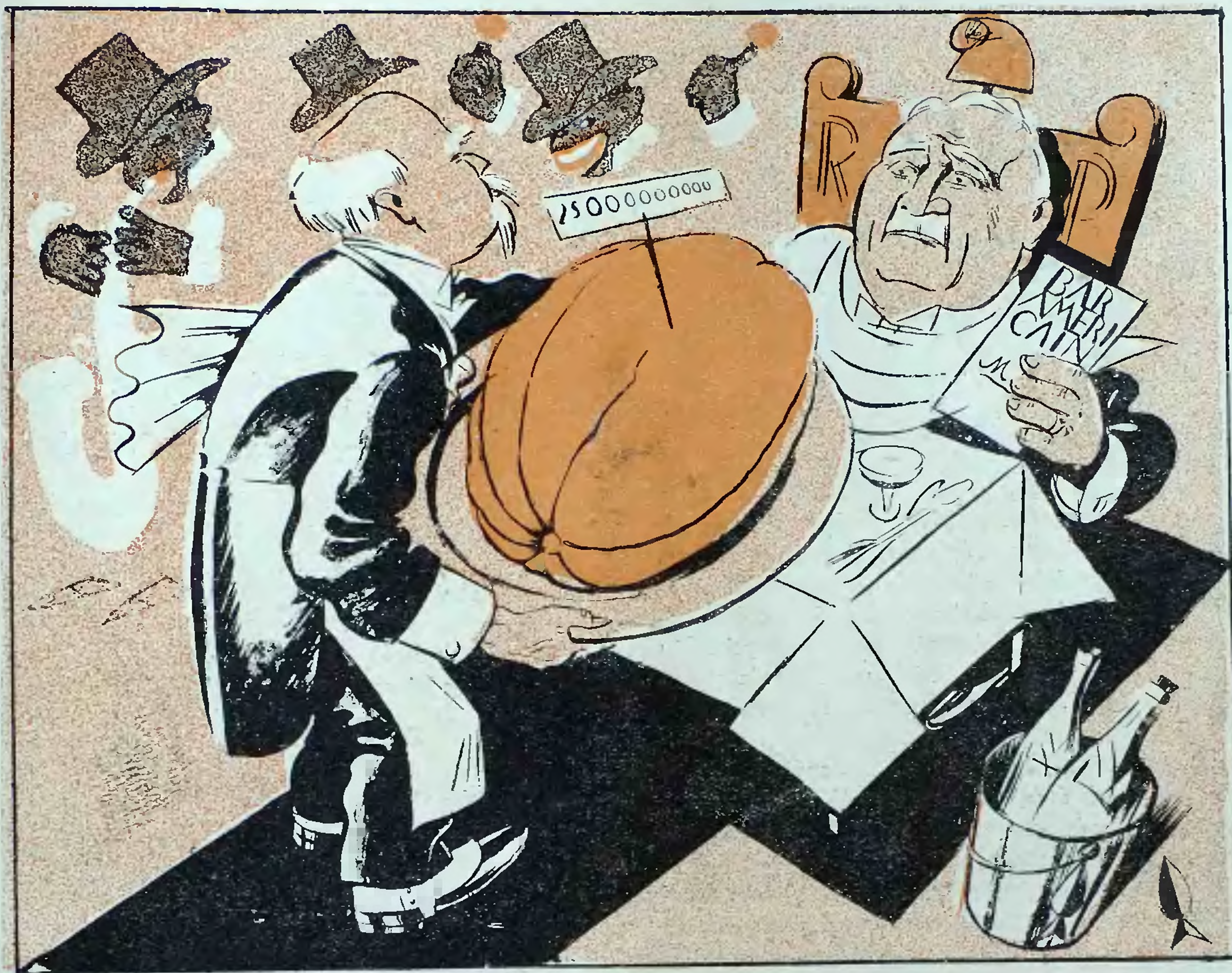
OKTOSTYCH O KOTKU.

Kotek, jak księżyc, wschodzi na płotek po żerdzi
zadarł ogon palmurski, jak syn buchaltera —
I w ucieczce bagdadskiej, gdy pejzaże zbiera,
siedmió-brwi-nowym butem, co stąpnie, to mruga.
Ładna to jest piosneczka nie krótka, nie długa:
— oj, niema już tej wody... (choć i jest, to niema...)
Zaśpiewam ci o kotku, co na Nobla mruga:
— ostały się nam jeszcze dus naszych problema...

— Znów Pierwsza Bryka-da, znów — „pierwsi”?
(Berbecie z Berbecji przy piersi!)
— A dol-a A-dol-fa — i nie raz:
Jak — „kotka na płotku” — w sam raz...
Przepisał j. j. w.

SŁONY RACHUNEK

z powodu pobytu sekretarza stanu amerykańskiego ministerstwa skarbu Mellona w Paryżu.



— Poincare: — Melon — dwa i pół miljarda.

rys. Pik.

CO MÓWIA.

*
 Podobno Korfanty zakłada lożę Wielkiego Dochodu.

*
 Mówią, że towarzystwo assenizacyjne w Warszawie zawiesiło wypłaty i zaległości wypłaca w towarze.

*
 W komisji prawniczej przy pracy nad zmianą konstytucji, ktoś zaczął swoje przemówienie od tego, że w całej Europie parlamentaryzm jest dziś hamulcem wszelkich istotnych i żywotnych reform.

— Tak, — odpowiedział ktoś na to — tylko że u nas ten hamulec pisze się przez „ch”.

*
 Przyczynek do psychologii parlamentaryzmu. Poseł R. jedzie w nocy z Krakowa do Częstochowy. W przedziale trzy osoby. Wszyscy śpią. Przed Częstochową konduktor budzi pana posła:

„Panie pośle, już trzeba wstawać”. Poseł R. otwiera oczy, rozgląda się i mruczy: „Mowy niema! Większość śpi”.

— Słyszałeś? Nurmi przebiegł 10 kilometrów i przy samym celowniku zrobił jeszcze skok półtorametrowy do góry!
 — Sztuka! Z takiego rozpędu!

*
 — Moja żona to anioł!
 — Tak? Moja żyje jeszcze.

*
 — Kelner! Proszę befsztyk, ale duży, bo ja jestem nerwowy i każda drobnostka wprowadza mnie z równowagi!

*
 — Co to za pomnik?
 — Nie wiem, ale huknij go łaską, odtrąć nos albo ucho, a jutro się z gazet dowiesz.

W BIURZE.

Szef: Panie, którego dziś mamy?
 Buchalter: Szóstego.
 Szef: Biejącego?

— Rappaport! co sądzisz o symbolizmie w sztuce?

— Interesownie czy wogóle?

*
 Turysta: A klimat w tej miejscowości zdrowy?

Chłop tubylec: Jeszcze jak! Jakiśmy cmentarz zakładali, to trzeba było jednego chłopca specjalnie zabić!

*
 Do sklepu tytoniowego wchodzi mały wynędzniały izraelita, wyjmując z kieszonki od kamizelki ogryzek papierosa, zapala go o gazowy płomyk i wychodzi. Nazajutrz to samo. I na trzeci. I tak przez cały tydzień. Właściciel sklepu traci wreszcie cierpliwość i mówi:

— Przepraszam pana, co to za porządki? Kto pan właściwie jest?

— Co znaczy kto ja jestem? Ja jestem ten mały żydek, co tu codzień przychodzi i zapala papierosa!

WYSPIANSKI O PATKU.

„A i u nas som tacy, co byli w Japonji Aże bez dwa roki”.

(„Wesele”)



Pisał i rysował Grus.

Kocham Lwów, jest to bowiem jedyne miasto polskie, w którym czuję się dobrze o każdej porze roku. Mało powiedzieć dobrze, czuję się świetnie, wspaniale. Zwłaszcza wiosną. Pokażcie mi miasto na świecie, któreby ją tak odczuwało jak Lwów. Ile tam wtedy radości życia, ile śpiewu, muzyki, kochania i wypicia. A te serca poczciwe: tam nie ma ludzi bez przyjaciół, najuboższy człowiek ma ich kilku, nie mówiąc już o zamożniejszych. Nawet emeryci są tu znośniejsi. Jedyne co mię cokolwiek we Lwowie peszy to Kulparków, ale za to nie ma tam sejmu, różnych niepotrzebnych urzędów i sowieckiego poselstwa. Gdyby tak ode mnie zależało, urodziłbym się był tam, sprowadziłbym z Krakowa wszystkich świętej pamięci królów, z Warszawy Fukiera, z Poznania zwierzyniec, wogóle wszystko, co każdy zabór ma najlepszego, otoczyłbym to wszystko dość grubym i wysokim murem, ogłosił republikę, żył tam długi czas i umarł tamże, rzewnie opłakiwany przez wszystkich.

Właściwie wstęp ten na cześć kochanego miasta może wydawać się niejednemu z czytelników nieodpowiednim dla opisu mego zdarzenia, które powinno mnie być nastroić dlań wręcz inaczej, oświadczam więc stanowczo, że uczucia moje dla Lwowa są niezmiennie trwałe.

Działo się we Lwowie w parku Kilińskiego. Siedziałem w odludnym jego końcu na ostatniej ławce i czułem w sercu wielką tkliwość dla Stwórcy, dla przyjaciół od serca, dla Kafki, Baczewskiego, wogóle dla wszystkich istot z którymi mnie łączą serdeczne węzły. Wpatrzony zaś byłem w parkę myszek, która z energią godną naśladowania realizowała nieodgadnięte wyroki Opatrzności.

Westchnąłem mimowoli.

Ni stąd ni z owąd, zdaje się jednak, że z krzaków, wyszedł jakiś barczysty jegomość i przysiadł cichutko na koń-



cu mej ławki. Ubrany był przyzwoicie i budził zaufanie. W ręku miał laskę dość dużej objętości.

— Czy zauważył pan dobrodziej, że mamy znów wiosnę? — zwrócił się do mnie z uprzejmym uśmiechem.

Odpowiedziałem mu twierdząco i uśmiechnąłem się równie życzliwie.

Ośmieliło go to widocznie, bo przysunął się bliżej do mnie i zapytał ponownie: — Pan dobrodziej chyba nie ze Lwowa?

— Zgadł pan — odrzekłem — a po czym pan to poznał tak odrazu?

— Nic łatwiejszego! prawdziwy lwowiak nie będzie na ławce sam godzinami przesiadywał. W dwójkę z dziewczynką, w całej kupie, chyba jakiś tam kandydat na samobójcę, ale takich to już prawie niema we Lwowie. Wynieśli się do Warszawy. Siedzą tam na różnych stanowiskach, przeważnie rządowych.

— A pan szanowny? — zapytałem, śmiejąc się z jego dosyć trafnych uwag.

— Ja, to co innego, zupełnie co innego — jestem, trzeba panu wiedzieć, warjatem.

Wyrzekł to spokojnie, bez najmniejszego akcentu, wierząc laską w piasku.

Był widocznie przygotowany na efekt tych słów, gdyż spojrzał mi w twarz z bolesnym uśmiechem i ciągnął dalej tonem uspokajającym: — W tej chwili nie jestem warja-



tem, zaczynam nim być dopiero około godziny ósmej wieczorem. Wiedzą o tem w zakładzie i dają mi codziennie do tej pory urlop. Potem wracam do zakładu i rozbijam się do północy, a bywam wtedy bardzo niebezpieczny. Naprzykład przed półrokiem zabiłem dozorcę za to tylko, że nie chciał mi pożyczyć dwudziestu złotych na jakiś wydatek. Najgorzej kiedy mi się czegoś odmawia.

Wyjął z kieszeni duży nóż sprężynowy i ściał nim leciutko gałązkę jaśminu, zwisającą mi nad głową.

Chciałem coś wyrzec i zauważyłem okropną suchość w gardle. Zegarek wskazywał godzinę wpół do ósmej.

— Czy szanowny pan zawsze na czas do zakładu zdąży? — zapytałem go głosem, który nie ukrywał mego głębszego zainteresowania się tą kwestją.

— Niezawsze — odrzekł — często wynikają nieprzyjemności z powodu pewnych różnic w czasie powrotu. Wczoraj naprzykład siedziałem o tej samej porze i na tej samej ławce, tak samo jak dzisiaj z panem z pewnym przyjezdnym warszawiakiem. Potrzebowałem na gwałt pieniędzy. Musiałem opłacić zakład, rodzina mi nic nie daje, — poprosiłem go o pożyczenie mi pięćdziesięciu złotych — głupstwo — odmówił. O mało co nie przyplacił tego ży-

ciem. Przyspieszył wybuch. W czas jednak zauważył we mnie coś niewyraźnego i uciekł, zanim zdążyłem pokrajać go na kawałki.

— A w tej chwili jak się pan czuje? — wykrztusiłem cienko jakoś i dziwnie.

— W tej chwili dobrze, ale to nic pewnego, zdarzają się serje takich dni fatalnych.

Spojrzałem na zegarek. Jeszcze kwadrans do ósmej. Warjat siedział sobie spokojnie i skrobał nożem gałązkę. Nie zdradzał chęci odejścia. W tej chwili przypomniałem sobie przepowiednię pani Mirty Noel: Mam zginąć zdala od swoich, z ręki rodaka, śmiercią gwałtowną. Nie wątpię już ani na chwilę, że zbliża się moment spełnienia złowrózby. A więc umrę śmiercią męczeńską bezpotomnie — pomyślałem z goryczą. Ogarnął mnie niezmierny żal nad sobą. Wspomniałem, że umówiłem się był dzisiaj z przyjaciółmi właśnie na ósmą. Straszliwy zbieg przypadków. Czeka ją tam u Kafki na mnie nie przeczuwając, że nie przyjdę ani dziś, ani jutro — nigdy!

Przygwożdżony sugestją swego przeznaczenia nie próbowałem wcale ucieczki. Nie zdałoby się to zresztą na nic. Każdy mój ruch gwałtowniejszy mógł tylko przyspieszyć katastrofę. Warjat siedział tuż przy mnie. Nagle westchnął. Zamknąłem oczy.

— Mam do pana szanownego wielką prośbę! — zabrzmiało wśród upiornej ciszy.

Słowa te, wypowiedziane tonem pokornym, napęliły mnie niezmierną otuchą. Chce napewno pieniędzy. Odmówić, znaczy umrzeć niechybnie. Nie tracąc chwili sięgnąłem po pugilares, wyjąłem dwadzieścia złotych i wręczyłem mu, mówiąc gorąco: — Szanowny pan potrzebuje napewno małej pożyczki, jestem niesłychanie szczęśliwy, że mogę mu pomóc czemśkolwiek. Czy dwadzieścia złotych wystarczy narazie?

Milczał i skrobał gałązkę szybciej — coraz szybciej.

— Za mało — pomyślałem i błyskawicznie podałem mu jeszcze dwadzieścia.

Wziął milcząco i skrobał gałązkę niepokojącymi ruchami dalej.



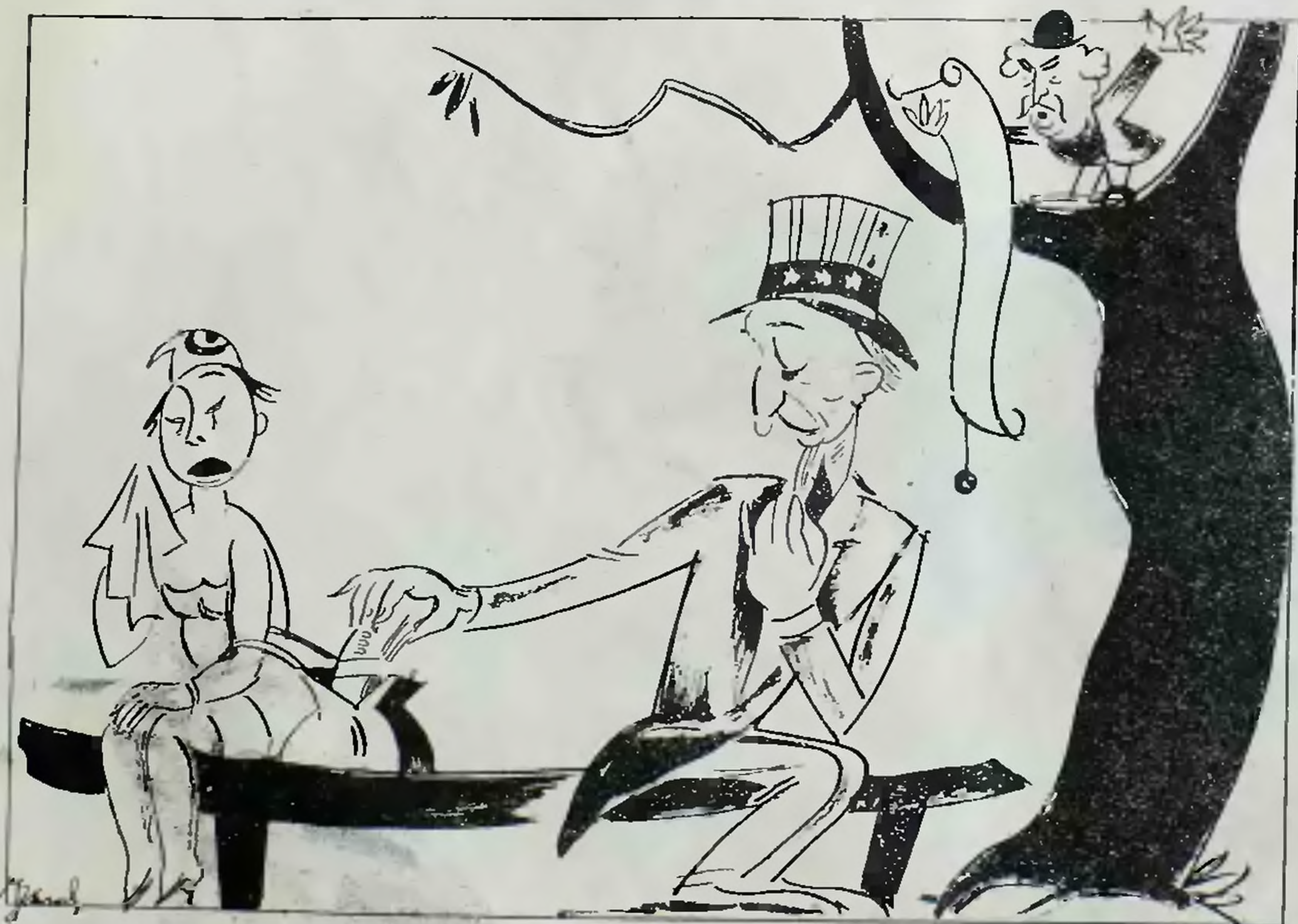
Ogarnęła mnie rozpacz. Począłem mu wtykać jeden palec po drugim w miarę wzrastania szybkości ruchów jego ręki przy skrobaniu gałązki. Niepokój mój dosięgnął najwyższego stopnia, gdy przekonałem się, że w portfelu nic więcej niema. Wtedy powstałem zdecydowany na podstęp. Nagłym ruchem wcisnąłem mu go w rękę, mówiąc uroczyście. Proszę wziąć wszystko co posiadam razem z portfelem — na pamiątkę! A potem, nie czekając aż zajrzy do niego wykonałem nagły zwrot w lewo i pomknąłem jak strzała w kierunku miasta.

Czas był najwyższy, gdyż za chwilę posłyszałem za sobą straszliwy, krew mrozący, śmiech szaleńca.

Jakimi drogami dotarłem do Kafki nie pamiętam.

Opowiedziałem wszystko kolegom ze szczegółami. Pękali ze śmiechu i wyjaśnili mi, że zostałem nabrany przez znanego we Lwowie łotrzyka. Przytoczyli cały szereg jego sposobów łapania naiwnych gości, które miały mnie przekonać delikatnie, że jest on znacznie mocniejszy na umyśle ode mnie.

Z POWODU LISTU P. CLEMENCEAU I NOTY P. BRIANDA.



Ameryka się wstydzi bardzo, ale odbiera swoje należności.

rys. J. Zaruba.

PROGRAM PRZEDSTAWIENIA AMATORSKIEGO DELEGACJI POLSKIEJ W GENEWIE.

1) „A cóż to będzie, a cóż to będzie za Rada, za Rada?” — odśpiewa chór.

2) Scena z komedji „Szczęście Frania” z p. Franciszkiem Sokalem w roli tytułowej.

3) „Z tamtej strony jeziora” — pieśń ludowa — odegra p. Ignacy Paderewski.

4) Wyjątki z książki „Gucio czarowany” — odczyta pan August Zalewski.

5) „Co było Dziadkiem, już nie jest Dziadkiem” — odśpiewa p. Mieczysław Niedziałkowski.

6) „Kiedy muzyczka zagra Steigera” — chór korespondentów zagranicznych.

ARCYDZIEŁA LITERATURY W OBRAZKACH

Na przyjazd panny Konopackiej z Goeteborga



„Dzika kaczką” (—Ibsena).



„Siłaczka”.—„Na pokładzie” (Żeromski).



Walka z bykiem hiszpańskim.

rys. J. Zaruba.